

A wiosna była tuż, tuż...

Puściłam wodę do wanny, do niej trochę płynu o zapachu eukaliptusa. W taki ranek, zimny i mglisty, nie ma nic przyjemniejszego, jak zanurzyć się w ciepłej, pachnącej wodzie.

Leżę więc w niej, pod głową gumowa poduszka muszelka, ręką przegarniam pianę i zbieram myśli.

UCIEKŁAM Z KRAJU.

Dzisiaj mija osiemnaście lat od dnia, w którym zesliśmy z promu na ląd. Lilka, Feliks i ja. Wszystko, co później nastąpiło, będzie tematem mojej opowieści. . .

Muszę to napisać, ale nie łatwo jest ująć słowami – uczucia, przeżycia i emocje, jakich dostarczał nam każdy dzień. Wierzę jednak całym sercem, że moje próby są tego warte i spotkają się z pozytywnym odbiorem, zrozumieniem, a może i wzruszeniem czytelnika.

Moja naiwność, odwaga, lekkomyślność czy też spory ładunek determinacji tamtych czasów?

Wszystko razem, w dwóch podróżnych torbach i z dzieckiem za rękę. . .

Mój Titanic

Nasz rejs, na który wybraliśmy się, był króciutki, trzydniowy Świnoujście – Kopenhaga – Travemünde, ale pełen atrakcji. Po pierwsze bufet, Matko Święta, nigdy nie widzieliśmy tak zastawionego stołu, z którego można było sobie brać tyle jadalnia, ile tylko dusza zapagnie i do brzuszka się zmieści. Croissanty, pachnąca kawa, „strzelające” – jak je zaraz Lilka nazwała, paróweczki, kakao, mandarynki, banany, które dotychczas otrzymywały moje dzieci w kraju na „zajęcia” lub od Gwiazdora, po parogodzinnym wystawieniu ich przeze mnie w kolejce. Soki, soczki, ciasteczka oraz wiele innych pyszności, o których istnieniu nie mieliśmy do tej pory pojęcia.

Super! I o to mi właśnie chodziło!

W programie mieliśmy trochę czasu na zwiedzanie Kopenhagi, ale nie za długo, i to na własną rękę. Pamiętam, że było zimno i wietrznie, a my wałęsaliśmy się po jakimś placu z dwoma nowo poznanymi na statku dziewczynami. Z planu miasta wyczytałam, że niedaleko powinien znajdować się też pomnik duńskiej Syrenki. Oddaliłam się od reszty, zobaczyłam ją i zachwyciłam się. Taka delikatna, dziewczęca zawsze podobała mi się na zdjęciach. Kupiłam nawet widokówkę z nią, może Lilka ma ją do dziś, nie wiem.

Po południu prom z Polakami udającymi się na spotkanie z Zachodem wypłynął w stronę Hamburga, a w wieczornym programie czekały na wszystkich inne przyjemności. Na przykład wizyta w kasynie gry, po kolacji. Mój atrakcyjny mąż, lubiący zawsze robić dobre wrażenie, nawet wtedy, gdy jego kieszenie świeciły pustkami, zasiadł z Kaśką i Elką ochoczo do ruletki i wygrał kilka DM. Te dwie młode rodaczki uczepliły się naszego towarzystwa, a szczególnie jedna z nich nie odstępowała Feliksa.

Posiedziałam w kajucie przy Lilce kilkanaście minut, czekając na jej zaśnięcie, potem przebrałam się, poprawiłam makijaż i wróci-

łam do dużej sali, gdzie miał zacząć się za chwilę „Bal kapitański”. Jest on niewątpliwą atrakcją każdego rejsu, niezależnie od tego, czy trwa on trzy dni, czy parę tygodni i płynie sobie dookoła świata. Bardzo miło pozostały mi w pamięci ostatnie chwile spędzone tego wieczoru z Feliksem. Wesoła atmosfera, zespół grał przyjemnie, opowiadaliśmy dowcipy, tańczyliśmy. Uśmiecham się teraz do wspomnień i myślę, że było jak w starym kinie. „Ostatnie tango” przed rozstaniem. Byliśmy prawie dwadzieścia jeden lat po ślubie i tego wieczoru tańczyliśmy tango na statku, który wioził nas w nieznane. Zawsze tańczyło mi się dobrze z Feliksem, ale tego wieczoru jakoś szczególnie fajnie. Myślałam, że go bardzo kocham, i ta zmiana, którą zaplanowaliśmy w naszym życiu, musi się udać.

* * *

Mądrało jedna, myślę dzisiaj o sobie. On cieszył się wtedy, że weźmiesz to wszystko na siebie. Całą odpowiedzialność urzędnika was w obcym kraju, załatwienia koniecznych formalności. Słyszało się od rodzin tych, którzy już wyjechali do „krajów szczęśliwości i dobrobytu”, a on przyjedzie na gotowe. Kochana, po prostu uspił twoją czujność.

Zrobiło mi się nagle zimno i wyszłam z wanny.

Tamtego jednak wieczoru na statku, jak na Titanicu, niczego nieświadoma, tańczyłam tango z mężem i wybacząc mu w duchu dawne jego skoki w boki, byłam pełna dobrych chęci i nadziei. Mieliśmy zacząć nowe, wspólne życie.

Siedzieliśmy właśnie przy stoliku, gdy ten nagle przechylił się, zakreśliły się i pozostałe stoliki, jakby ktoś bez zapowiedzenia włączył karuzelę. Filiżanki z niedopitą kawą leciały na podłogę, orkiestra przestała grać i z powodu nadciągającego sztormu poproszono nas o udanie się do kajut. Kamizelek pomarańczowych jednak nie rozdawali. Szukając naszych dziupli w labiryncie wąskich korytarzyków, odbijaliśmy się od ściany do ściany, bo huśtało coraz bardziej.

Lilka siedziała na łóżku, gotowa właśnie do oddania tego, co pochłonęła z wielkim apetytem na kolację, a Feliks zajął miejsce

w toalecie. Później tylko wymienialiśmy się miejscami. Niepokój na morzu trwał z dobrą godzinę. Córcia znużona, i już jako niemowlę lubiąca, by ją do snu pohuściano, oddychała równo, ale my nie myśleliśmy o spaniu. Leżeliśmy obok siebie na wąskim, okrętowym łóżku i ustalaliśmy kolejność działania: Feliks wróci do domu, bo to j a s a m a powzięłam decyzję pozostania z dzieckiem w Niemczech, a gdy afera w naszym miasteczku troszkę ucichnie, postara się „załatwić” paszporty i wizy dla Małgosi i Olka. W tamtych latach paszporty i wizy trzeba było załatwiać, no, ale w ramach tzw. łączenia rodzin nie powinno mu to sprawić większej trudności, tym bardziej, że ma znajomości w SB. Później sprzeda parę wartościowych drobiazgów, które w domu posiadaliśmy, zlikwiduje mieszkanie, dojedzie do nas i będziemy żyć wszyscy razem długo i szczęśliwie!

Zadowoleni z naszego chytrego planu, troszkę pokochaliśmy się na pożegnanie, a gdy burza ucichła, Feliks postanowił spróbować jeszcze raz szczęścia w kasynie. Zasnąłam i nie usłyszałam, kiedy wrócił do kajuty. Nie pamiętam też, czy śniło mi się coś tej nocy.

A powinien to być sen o burzy z piorunami, lecącymi na moją głowę i o smokach-straszydłach w zielonych kubrakach. Sen, który może odwiódłby mnie od powziętego zamiaru, bo przecież wierzyłam w sny.

Nie odebrałam jednak żadnego znaku...

Podróż w nieznane

Jeszcze tylko spacer po Hamburgu, jakiś pasaż z butikami, a w nich ciuchy jak z katalogów, souvenirs – coś trzeba kupić dla Małgosi i Oliwera, by Feliks mógł zabrać...

Lilka zachwycona przed wystawą z lalkami. Mamo, taką bym chciała... Tak, taką ci kiedyś kupię, córeczko...

Powoli narastał we mnie niepokój, bo zbliżał się czas rozstania. Do odjazdu pociągu, który miał zawieźć mnie i dziecko do znajomej rodziny, zostało tak niewiele minut. Ten niepokój, gdy opisuję dziś moją historię, jest też we mnie. Jeszcze większy niż wtedy, bo dziś jestem świadoma faktów, o których wtedy nie miałam pojęcia. Strach, jakbyśmy miały przeżywać to rozstanie od nowa. Nie, błagam, nie, nie chcę więcej żegnać się na dworcu w Hamburgu!

Feliks wrócił sam na prom, na którym podobno, jak czytałyśmy później w liście od niego, zostało tylko paru Polaków. Przypominało mi to notatkę w gazecie, z której śmialiśmy się kiedyś w domu:

„Z wycieczki autobusowej do Wiednia wrócił do Wrocławia tylko sam kierowca”.

A ja z Lilką, kandydatki na azylantki, jechałyśmy komfortowym ICE w kierunku Nordrhein-Westfalen. Z nami zabrała się też jedna z dziewczyn, Elka, która całkiem „w ciemno” jechała do spodziewanego dobrobytu i poznanie nas na promie uważała za prawdziwy dopust boży najlepszego gatunku. Kaśka za to, zachwycona (naprawdę, nie zmyślam!) po zobaczeniu poprzedniego wieczoru ulicy uciech na St. Pauli, postanowiła zostać w Hamburgu, by przekonać się, czy faktycznie udałooby się zarobić dobrą kasę. Tym bardziej, że poznała w porcie jakiegoś Darka, który obiecał jej pomoc w zaaklimatyzowaniu się w tym mieście.

Znajomi, u których wylądowaliśmy późnym wieczorem, mieszkali od roku w jednym pokoju z malutką kuchenką i łazienką. Przed tygodniem przyjechała do nich z Polski koleżanka z przyjacielem, a przed dwoma dniami jej faktyczny mąż. Do tego stanu zagęszczenia dołączyła nasza dzielna trójka i gościnnie posłano nam na podłodze. Zresztą było nam w tym momencie i tak wszystko jedno, a Lilka zasnęła z kurtką podłożoną pod głowę, przytulając do siebie pluszową myszkę Mickey. Wczoraj rano zadzwoniłam do mojej córki, do pracy i przeczytałam jej napisany urywek.

– Co pamiętasz jeszcze z tych pierwszych dni?

Przelknęła, bo akurat jadła śniadanie.

– Napisz o myszce Mickey – powiedziała i zaczęła opowiadać epizod, który uciekł mi już z pamięci, a okazał się bardzo ważnym faktem dla mojego dziecka. Nawet dziś.

Pamiętnego dnia, czekając na pociąg w Hamburgu, staliśmy wszyscy na peronie, Feliks rozmawiał z dziewczynami i tym wcześniej już poznanym Darkiem, a ja z Lilką przed kioskiem dworcowym, w którym było tyle fajnych rzeczy.

– Mamo, proszę, chociaż tę myszkę – moja córka nie odrywała oczu od wystawy.

– Lilka nie mogę, przestań proszę, ona jest droga – mówię i odwracam się, szukając oczami mojego męża. Nadal stał z nimi, nie patrząc na nas.

– Ale mamo – oczy Lilki zaczęły napęlniać się łzami. Niedaleko nas, nieznanomy starszy pan oczekiwał również przybycia pociągu. Być może rozumiał język polski, choć obserwując nas obie, nie trudno było się domyśleć, o co chodzi dziecku. Podszedł do nas bliżej, z uśmiechem skinął ręką mojej córce, by pokazała mu, którą zabawkę tak bardzo sobie życzy, i kupił ją uszczęśliwionej Lilce. Wybąkałam „danke szejn”¹, a on starodawnym gestem uchylił kapelusza i rzuciłyśmy się do pożegnania z Feliksem, bo nasz pociąg zaczął wjeżdżać na peron.

¹*Danke schön* – dziękuję bardzo (niem.)

Taka myszka, prezent na początek, drobiazg jak znak, że może nie będzie nam aż tak trudno w tym Deutschlandzie?

Poproszę o azyl

Mały hotelik nad Renem z knajpką na parterze, nasza pierwsza kwatery przydzielona przez Urząd dla Uciekinierów, Ausländeramt. Pokój nawet dość spory, a w nim dwa łóżka, szafa, komoda, stolik i dwa krzesła dopełniały typowego wyposażenia hotelowego. Pokój z widokiem na parking i stację benzynową.

Opłacono nam noclegi ze śniadaniem, przydzielono kieszonkowe na przeżycie. Ta suma w przeliczeniu dawniej na złotówki przyprawiła i tak o lekki zawrót głowy. Pozostało tylko czekać na rozpatrzenie naszego podania o udzielenie azylu przez odpowiednie władze niemieckie. Dla wszystkich obcokrajowców, bo nie byliśmy przecież jedynymi, chcącymi za wszelką cenę tam pozostać, procedura załatwiania była w zasadzie taka sama.

W ratuszu nie potrzebowali już wcale tłumacza przy wypełnianiu dokumentów. Zabrano nam paszporty, zrobiono dwa zdjęcia do *ausweisu*, czyli tymczasowego dowodu osobistego, w którym wyraźnie napisano, że pracować nie wolno, i wbito stempelek świadczący o zezwoleniu na wstępne trzy miesiące pobytu. Ośmieszaliśmy się strasznie, dzisiaj widzę to jaśniej niż kiedykolwiek, ale takie były czasy. Wymazać z pamięci i tak nam się nie uda..

Poszliśmy z Lilką do kasy w socjalamcie² odebrać kieszonkowe, którego miałam trochę więcej niż single, bo dla dziecka dano mi tzw. Kindergeld i trzeba było zrobić zakupy do szkoły. Piórniki, zeszytiki, kredki, pisaki, wszystko takie śliczne, moje dziecko stało zachwycone przy kolejnym już stoisku w *Kaufhalle*³ i wybierało co trzeba i co nie trzeba.

– Musimy zadzwonić do taty dzisiaj wieczorem – postanawia Lilka i oczy jej błyszczą. – Opowiem mu wszystko.

² *Sozialamt* – urząd socjalny (niem.)

³ dom towarowy (niem.)